



Z NASZYCH KRAJOBRAZOW.



fot. W. Męczyński.

WIEŚ BORSZCZAHÓWKA, POW. KIJOWSKI (UKRAINA).



Czy t. zw. zdobnictwo przeddziejowe i ludowe jest wyłącznie zdobnictwem ludowym?

Ależ znamy, znamy, wiemy: nudne, głupie, zawsze toż samo w koło...

Szanowny czytelniku—cierpliwości. Odważ się jeszcze raz i posłuchaj. Z wierszy tych przemówi do ciebie wprawdzie Niemiec, ale Austriak (okoliczność łagodząca), więc udziel mu chwil kilku, tych chwil zbędnych pomiędzy kinematografem, Lardellim a Zachętą.

Czas bo już wielki, abyśmy nieco zatęchły lamusik naszych zapatrywań chociażby tylko pobieżnie porównali z tem, co oto zgniły zachód przynosi. Będą to myśli nieco dziwne (w zestawieniu z naszą prasą codzienną), obce, ale po zastanowieniu i dojrzałej rozwadze może trafi która do czytelnika, może przyśpieszy tę rewizję zapatrywań, na którą pono dawno u nas pora.

Niemal życie całe słyszę u nas o zdobnictwie przedhistorycznym, o zdobnictwie ludowym, i zawsze wyczuwam, iż owe wyrażenia wysysane są u nas prosto i naturalnie z własnego oto paluszka.

*

Zdobimy, tak nam się przynajmniej wydaje, nasze salony, wybieramy tapety, meble. Wyzbyliśmy się doszczętnie wszelkiej tradycji. (Brum, co za zacofany wyraz!)

Spokojnie oglądamy w renesansowym (pożal się Boże!) salonie łowickie wycinanki, książeczki pajaki — w „secesyjnym“ buduarze mebelki kryjemy welniakiem z Mysłakowa. Kochamy swojskość. Modlimy się spokojnie w kościele romańskim, gotyckim, renesansowym, jezuickim i t. p., a wszystko to świadczy, iż staliśmy się indyferentni, martwi w rozumieniu sztuki. Sztuka oderwała się od nas a my od niej, i wątpię, czy się wzajemnie odszukamy.

Wszystko to możnaby jeszcze wytrzymać, jednak najboleśniejse jest to, iż tak wypróżnieni zabieramy się do epok dawno minionych, do czasów przedhistorycznych i chcemy tam wypowiadać sądy z punktu naszych obecnie urobionych zapatrywań estetycznych.

W muzeum wykopalisk zachowujemy

się jak w magazynie konfekcji damskich: to jest nam ładne, gustowne, mile, to znowu grube, niedołężne, ubogie i t. p. (Spostrzeżenia te zebrałem przyglądając się przewodnikom młodzieży szkolnej, oprowadzającym uczniów po dziale wykopalisk Muzeum Przemysłu i Rolnictwa).

*

Tymczasem oto uczony niemiecki twierdzi, iż pismo (są rozmaite pisma — jest pismo np. obrazowe) i ornament wzajem się tak zlewają, iż obecnie granic wyznaczyć im niepodobna.

Niektóre kształty, uważane przez nas za *z d o b n i c z e*, są pierwotnymi *s y m b o l a m i* religijnymi, a dopiero następnie stały się ornamentem. Cele kultu niegdyś decydowały o wyborze motywu, a potrzeby estetyczne jedynie o wykonaniu. Znaki plemienne i znaki własności, będące rodzajem pisma, stanowią niekiedy dzieła sztuki, gdyż człowiek przedhistoryczny dbał o piękne ich kształtowanie.

Obok czysto estetycznych poczuć konserwatyzm kultu przechował z zabobonnym uporem odwieczne kształty. Estetyczne cechy ornamentu są te, które przyjemnie oddziałują na zmysły. Takie oddziaływania niekiedy są same przez się celem. Odmienne znowu będą cele praktyczne danych przedmiotów.

Wykryć w zabytku przedhistorycznym wartość estetyczną nie jest tak łatwo, jak się to nam (w Warszawie) wydaje. Zazwyczaj mylnie bierzemy to wrażenie, które obecnie otrzymujemy, za wrażenie, które przedhistoryczny artysta wyrzeć zamierzał na swoje środowisko (4500 lat temu). Przeoczamy cały ogromny okres cywilizacyjny i rozwojowy, dzielący nas (1912) od owego artysty (2000 lat przed Chrystusem).

Oceńmy wrażenie, jakie toż samo dzieło sztuki sprawia na nas i na negra ze środkowej Afryki.

Dzieło sztuki samo przez się stanowi



tylko fragment. Potrzebuje ono uzupełnienia w duszy widza.

Tylko publiczność, stojąca na tym samym poziomie kultury, co twórca dzieła, t. j. artysta, jest w stanie jego twór uzupełnić.

Widz innego poziomu kultury widzi tylko fragment tego, co mu przed oczy postawiono; duch jego nie pracuje (poziom rozwoju tego ducha to wyklucza), aby odebrać wrażenie zamierzone przez artystę.

Odmawiamy np. sztuce japońskiej głębi myśli — ta jednak istnieje — tylko europejczyk wyczuć jej swoim umysłem nie jest w stanie.

Toż samo zachodzi ze sztuką australijczyków, buszmannów, eskimosów, a również ze sztuką późno-czwartorzędownców, myśliwych na rena, mamuta, bizona w przedhistorycznej Europie, z rytymi rysunkami czerwonoskórych północno-amerykańskich, tak dobrze jak z rzeźbami na skalach w Skandynawii z okresu brązowego. Nie rozumiemy treści duchowej (filozofii) tych sztuk, a tylko sądzimy je z wyglądu zewnętrznego. Groteskowość, niesmak, śmieszność tych prymitywnych obrazów leży w ich obrazowo-opisowym przeznaczeniu. Za wiele chcą one nam powiedzieć wysoce ograniczonymi środkami.

Toż samo ma miejsce w poezji.

W poezji lwią część treści musi być dopełniona przez fantazję słuchacza („niech czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa“) a zatem przez zapas tego, co pozwala nam na pojmowanie naszych czasów i pokrewnych ludów. Pieśni, podania, klechdy indyan, buszmannów, australijczyków są nam mało zrozumiałe, wydają się śmieszne, odrażające, podczas gdy wrażenie ich na miejscowych jest poważne i pociągające. Do wytwarzania wrażeń estetycznych, potrzeba artysty tworzącego i dopełniającej (rozumiejącej — uzupełniającej) publiczności. Artysta (pier-

wotny) nie tworzy nigdy w oderwaniu od swego środowiska. Tylko na wyżynach kultury artysta tworzy dla publiczności, którą przeczuwa okiem ducha. A arcydzieła sztuki ludów wysoko-kulturalnych nie zawsze bywają przystosowane do panujących upodobań, niekiedy są wprost przeciw nim skierowane, ale zawsze obliczone (bezwiednie) na ten poziom, jaki środowisko kiedyś osiągnie. Mimo to sztuka zawsze jest wyrazem danego środowiska (wyjąwszy Warszawę w dobie obecnej). Sztuka jest funkcją (czynem) środowiska i zawiera wysokie czynniki rozwojowe!

*

Tyle dowiadujemy się z rozdziału „Die Kunst“ dzieła prof. dr. Maurycego Hoernesa (1909). „Natur und Urgeschichte des Menschen“) znakomitego wiedeńskiego antropologa.

Sądzę, iż warto się teraz zastanowić nad wyrażeniem, które wywalczyło sobie u nas prawo obywatelstwa: zdobnictwo przedhistoryczne, zdobnictwo ludowe. Mamy tu do czynienia z wyrażeniem symbolicznym, które przyjęto, aby mózgi się porozumiewać, jednak w świetle wyżej przytoczonego zdobnictwa nie zawsze było i jest tylko zdobnictwem, i wartoby sumiennie zbadać, co jest przeżytkiem prastarych tradycji, a więc wiary i kultów¹⁾, w zdobieniu zabytków przeddziejowych i ludowych (metoda porównawcza), a co, zwłaszcza u naszego ludu, zostało już li tylko ornamentem z poczucia piękna wyłącznie powstałym?

Pytanie bardzo ważne i bardzo na czasie zwłaszcza wobec niemal zupełnego u nas na tym punkcie milczenia.

Maryan Wawrzeniecki.

¹⁾ Emile Soldi-Colbert de Beaulieu „La Langue Sacrée“, Paris 1900.





RJEKA.

Z Cetynii do Baru.

Z Kotoru do stolicy „gospodara“ przyjechaliśmy (14 sierpnia r. b.) wygodnym powozem czeskim. Czeskim — bo właścicielem jego był czech, na południowym krańcu monarchii osiadły. Tam służył wojskowo, tam się ożenił i został, bo dla niego tam ojczyzna, gdzie dobrze. A że nas czech powiózł, nie trudno wyjaśnić. Zamówił go nasz towarzysz podróży, czech, profesor z Pragi, Jan Zeman, polak dał się nakłonić przez słowiańską wzajemność czesko-polską, a Niemiec w osobie znanego historyka dr. Hildebrandta musiał się już poddać większości dwu przeciw jednemu głosowi. Z Cetynii podążyliśmy już po apostolsku, ciężary tobolekowe nam nie zawadzały, bo wszystko zostało w Kotorze u „Puhalovica“.

Najprzedniejszy cicerone czarnogórski, pan Rajnwajn, mówiący biegle po serbsku, niemiecku, francusku, włosku i grecku, a rozumiejący dobrze i po czesku, objaśnił nas, że wprawdzie samojazdem tylko pół godziny się jedzie do Rjeki, ale piechotą w dwie godziny bez wysiłku zejść możemy. Droga samochodowa, ciągle z góry na dół, zachęca do pieszej przechadzki. Ponieważ przed wyjazdem z domu przeczytałem z ogromnem zajęciem podróż myśliwską Camilla Morgana po Czarnogórze (w czasopiśmie „Waidmannsheil“) — przeto skłoniłem towarzyszy do milej przechadzki, obiecując im piękne widoki zielonych oaz, równin uprawnych

i obszarów leśnych, na które mieliśmy z góry spoglądać. I nie doznali zawodu.

Od Kotoru do Cetynii jedna tylko oaza zieleni — Njegusz, zresztą jeno skały i kamienie, jak daleko oko sięgnie — cisza kamienista, skaliska zastygłe. Teraz oko ma ustawicznie jakąś drzewinę na widnokręgu i w najbliższem otoczeniu, to grabina, rzadki gaik tworząca, to bujne krzaki czernic przydrożnych i zagonki kukurydzy, albo znowu kiście jabłek granatowych lub kępki latorośli winnej przy ścianie samotnej chałupki — mile oko bawią. Romantyczny to widok z gościńca na wyniosłości spojrzeć w dolinę i kotlinkę, gdzie się bieli wioska. Jasne domki murowane przegładają z za drzew ogrodowych i dzikich, koło domków zagonki kukurydzowe i kartoflane, poza drzewami dalej większe pola zbożowe. Wszystkie rośliny blado-zielone dla braku wody, której do sytości nie posiadają. Są źródła, są krynice, nawet przy drodze ich parę spotkamy, jest i studnia jedna omurowana — zadużbina jakaś — lecz няма tej wody wszędzie, gdzie człowiek jej zapragnie albo roślina zapotrzebuje.

Droga arcywygodna biegnie wciąż skrętami w zakosy, zostawiamy ją zresztą wozom i automobilowi, sami za przykładem tubylców skracając sobie odległość ścieżkami. Skrócenia są nawet parokilometrowe. Nie minęły dwie godziny, a droga przestaje się łamać, wiję się



już równo, pod nią w dole błękit rzeczki, tu wąskiej, tam zaraz obok już szeroko rozlanej, o brzegach zielonych i błotnistych. To modre wody Crnajewickiej Rjeki, na której lewym brzegu leży miasteczko Rjeka.

Mieścina niewielka, nawet dla Czarnogórze niewielka; ma ledwie 1,600 dusz, gdy Podgorica liczy ich 10,000, Ulciu (Dulcigno) 5,000, Niksić i Bar mają po 4,000, a Cetynia 3,600. Wyglądem swym, ciasnymi uliczkami, galerijkami i wykuszami domów przypomina świat włoski — jeno czysto tu i schludnie, jak nie wszędzie u Włochów. W Rjece ma gospodar czarnogórski swój pałacyk zimowy, poznać go z daleka po ładnym ogrodzeniu i strażnicy wojskowej w ogrodzie ponad Barem. Poza miastem na południu, tuż przy drodze ku przystani parowcowej ma król duży zwierzyniec sarni i bażantarnię — Leskovic.

Z opisu Morganowego zaczerpnęliśmy wiadomości o pięknej okolicy nadrzeckiej. Stąd wiemy, że most łukowy, przez który z miasta wychodzimy, jest dziełem i pamiątką czasów tureckich. Przypomina on wielce sarajewski „Most Kozi“. Pod mostem jest spływ wód rzecznych i dalekich bagnistych wybrzeży jeziora Skodarskiego.

W tejże stronie znajduje się historyczny zamek na górze Obod. Bohater narodowy Ivo Crnajewić zbudował tu gród z więzieniem. Kilka domków na tej górze zowią się Rjecki grad, przyjąwszy nazwę od twierdzy średniowiecznej. Niżej ku południowi jest jeszcze drugi Obod z pieczarą wewnętrzną, która się podziemnie ciągnie do Kotoru i 5,000 ludzi może podobno pomieścić. Z niej wytryska czarnogórska „Missisipi“, niedaleko za miastem z wąskiego strumyka rozlewa się szeroka rzeka (prawie jak Wisła pod Krakowem), po której suną czołna rybackie „londra“. Ta nadzwyczajność rzeki skłoniła badaczy do przypuszczenia, że jest ona laguną jeziora Skodarskiego, 10 km. w głąb lądu wciśniętą — tem bardziej, że zarzycenie w obu jest to samo. Bujna i różnorodna roślinność i fauna dodają obu brzegom uroku.

Skodarskie jezioro — Ličen Skodro po albańsku, Locus Labeatis łaciński, — uznane jest oddawna za perłę Czarnogórze. Ma 262 km. obszaru i długości 40, szerokości 14 km. Bogactwo wysepek (35) dodaje mu niemało uroku. Najpiękniejsze i największe należą do Czarnogórze, reszta z połową jeziora są własnością turecką. Lipovujak jest częściowo wyspą rzeczną, częścią jeziorową. Największą jest Vranjina, na której znajduje się klasztor, a na szczycie

górkim powiewa zdala widoczny sztandar. Vranjina była do XII w. półwyspem, dopiero w czasie 1210 — 1233 stała się wyspą. Lesendra ma twierdzą, Grmozur zaś więzienie dla ciężkich przestępców. Na wybrzeże tureckie, groźne bandami rozbójniczymi, nikt się z tej strony nie zapuszcza, pomimo, że zatoka Hoti-Hum bogactwem ptactwa nęciłaby myśliwych.

Ryb mnóstwo. Z rybołówstwa w r. 1906 za wywiezione 117,000 kg. otrzymali czarnogórcy 50,000 kor. Z ptactwa szczególnie słynne są tu pelikany, na które już królowa ilirska Teula polowała. Wiadomości te zebrał wspomniany powyżej podróżnik i myśliwy.

Jezioro Skodarskie ma barwne dzieje. Było ono niegdyś prawie dwa razy większe nim zwały wapienne zostały przez fale jeziorne przegryzione i powstały dwa odpływy Bojana (łac. Borbana) i Kiri, które jezioru sporo wody odebrały, unosząc ją do morza. Tak powstały urodzajne pola i dziś jeszcze zalewane i przez wylewy użyźniane, jak Popovo pole w Hercegowinie. Bojana połową swego brzegu prawego stanowi granicę czarnogórską od Turcji. Jezdzą nią statki austriackiego Lloyd'a i Ungaro-Croaty aż po Oboti.

Po wodach skodarskich żeglowały statki rzymskie, wojujące przeciw illyrom, wiozące 168 przed Chr. pretora Luciusa Aniusa na zniszczenie Skodry, stolicy illirskiej, później galerii cesarza Dyoklecjana, który założył Claudię Augustę (Dioklea), stolicę prowincji Illyria Praevalitana (odkopaną i zbadaną przez rosyjanina Rosińskiego).

Przy ujściu Bojany jest port turecki Pulaj i czarnogórski Senkol, zwany też portem św. Mikołaja.

Droga nasza biedz miała tylko zachodnim szlakiem żeglarskim po jeziorze Skodarskim. Pragnęliśmy się dostać do Virpazaru, stamtąd już koleją nie trudno dostać się do Baru i Adryatykiem do Kotoru. Tłum albańczyków czarnogórskich i oddział wojskowy zapowiadały wielki tłok na parowcu, mimo to wzięliśmy bilety klasy niższej, aby się właśnie temu ludowi przyrzec bliżej. Były już potyczki i starcia nadgraniczne z Turkami, ale o wojnie czarnogórsko-tureckiej jeszcze nie myślano, nic jej nie zapowiadało napewno. A przecie było coś, cośmy wszyscy zauważyli, a z czego dopiero teraz sobie każdy z nas sprawę zdaje. Razem z nami parowcem wracali nad morze albańczycy, podani „gospodara“. Twarze ich nie były wesołe, właśnie odwieźli swe konie wedle najwyższego rozkazu do stolicy i zostawili je tam dla celów wojennych na czas nieokreślony. Snać



przygotowywano się już poważnie. Jadący z nami oddział żołnierski wiedział, że w Virpazarze nie będzie jeszcze kresu jego drogi, tam mieli dostać rozkazy dalsze. Animusz rycerski bardzo ich rozpałał, to też opowiadali nam cuda niesłychane z historii, jak to Czarnogórze panowało nad wszystką ziemią serbo-chorwacką, jak to ich marzeniem jest aż do Prizrenu dociągnąć granicę ojczyzną. Z równą dobroduszością wskazywali nam obecnie granicę turecko-czarnogórską i sine turnie Albanii. Z dumą wskazywali na Żabljak, ich twierdzę nad wschodnim brzegiem jeziora i nad drogą do Skutaru. Z dumą wskazywali samochód, pędzący górnym gościńcem od Rjeki do Podgoricy. O turku i wojnie z nim najchętniej mówili i śpiewali nam tęskne melodey wojenne.

Obciążony parowiec posuwał się powolnie, choć kwapił się ze wszystkich sił. Miał też zresztą i trudności do zwalczania. Ubrzeże¹⁾ jeziora jest muliste i silnie trawia, więc ostrożnie baczyć musi sternik na znaki, wśród których żegluga jest pewniejsza. Skwar sierpniowy obniżył znacznie zwierciadło jeziorne i ukazał błotniste miejsca, które, jak brzegi koryto rzeczne, obejmują szlak żeglarski. Korytem owym wpływamy do przystani w Virpazarze. Daleko w wodę sięga pomost dla płytkości i namuliska rzeczno-jeziorowego; najbezpieczniej też pojedynczo ze statku wychodzić.

Z Virpazaru aż do morza prowadzi jedyna dotąd w Czarnogórze linia kolejowa. Jedyna dotąd — bo już wytknięta jest linia druga z Rjeki do Cetynii, która pewnie potem będzie połączona i z Virpazarem, a jest pewnie planowana i dalej na północ. Kolej dzisiejsza jest przedsiębiorstwem włoskiem zarówno jak i żegluga po Skotarze. To też język włoski gra tutaj rolę tę samą, co na okrętach Lloyd'a austriackiego. Włoskość zarządu poznać też można po bardzo pierwotnym urządzeniu stacyj i przystanków. Ale dla nas najważniejsze przecież, że kolej jest i żeśmy na czas zdążyli, bo pociąg raz tylko dziennie do Baru odchodzi i raz tylko na dobę od morza się wraca.

Droga kolejowa z Virpazaru do morza piękniejsza jest niż alpejski Semmering. Tuż obok widzimy żyzne, zielone, urodzajne i pełne wszelkiego zboża pola, winnice, łąny i zagrody, dalej lasy, a wokół tej zieloności skalne wirchy

i turnie podniebne. Przed nami niby Zawrat tatrzański i na ten właśnie Zawrat musimy się wdrzeć, przez tę przełęcz tam przedostać się trzeba, chcąc morze oglądać. Jest tu i szlak drożny. Wspinamy się znowu zakosami, całkiem jak od Kotoru do granicy czarnogórskiej.

Towarzyszy mamy znowu interesujących. Jeden w stroju jak sam król-gospodar barwnym, w modrym żupanie, z szerokim pasem żółtawym, kapitan artylerii, jedzie do Baru. Drugi jak żandarm dworski z Cetynii, w wysokich butach, niebieskich spodniach i czerwonym kaftanie, z pistoletami za pasem. Wygląda na człowieka czterdziestoletniego, a twierdzi, że ma dopiero trzydzieści trzy lata. Żonaty dopiero dwa lata. Jedzie do Baru, na miesiąc, a może i dłużej, nie wiedząc, po co jedzie, unika zresztą odpowiedzi na to pytanie, aczkolwiek w rzeczach innych jest bardzo rozmowny. Przysiadł się do nas już w drodze, biletu nie płacił, starczył mu jakiś okazany dokument. Na licznych stacyach przysiadło się po jednym albo dwóch podróżnych. Kiedyśmy do portu przyjechali, kapitan już miał nowych towarzyszy z obywatelstwa świeckiego i z nimi podążył na górę, gdzie jest stacya telegrafu bez drutu. Innego druha widzieliśmy pod wieczór w kąpieli morskiej, jak kroczył brzegiem morza ku willi królewskiej i jakby wymierzał krokami odległość. Był dla nas postacią zagadkową. Zagadkowość tę możemy sobie dzisiaj różnie tłumaczyć.

Wspomniana przełęcz stanowi wgłębienie pasma górskiego, znane oddawna z ruchu wozowego i pieszego, handlowego i wojskowego. Pociąg nie wspina się na sam grzbiet górski, lecz doszedłszy do odpowiedniej grubości skały, wchodzi w długi tunel. Gościniec wiję się grzbietem, tor przebija tunelem górę i nagle, skoro się ciemności tunelowe rozjaśniły, wyjeżdżamy pod stacyę Sulorman. Wojactwo uwija się koło stacyi, śnać jest ono tu na ćwiczeniach. Ludzi moc się krząta. Nad nami jedna „kula“ turecka, przed nami na wirkach widzimy coś trzy jeszcze takie wieże strażnicze. Dzisiaj ich mury są próżne, ale turcy mieli tu swe placówki i nie przepuszczali nikogo od morza w głąb kraju. Od Sulormanu zakręty kolejowe znowu zbiegają szalonym pędem na dół. Maszyna pracuje teraz chyba nad zahamowaniem pociągu. Sztuka inżynierska stworzyła tu piękne cacko. W kotlinie wjeżdżamy na wiadukt, objeżdżamy dokoła, dostajemy się pod wiadukt i znów robimy kółko. Ósemka lyżwiarska zupełnie do tej ósemki kolejowej podobna.

Ze skalic unosi nas pociąg na równinę fa-

¹⁾ Ubrzeżem nazywam część jeziora, najbliższą od brzegu.



listą, wygiętą lekkim, prawie nieznacznem wznie-
sieniem. Coraz więcej drzew koło toru i w dali
od toru, domy bliżej siebie, więcej ich co chwila.
Niemal u samego brzegu morskiego kres drogi
żelaznej, kres podróży naszej. Przed nami u za-
łamu brzeżnego w przystani stoi okręt i czeka
na podróżnych. Jesteśmy w przystani Barze,

którą świat zna pod nazwą włoską Antivari.
Przystań ma kształt półkola, u krańców średni-
cy na północ jest Spicz czyli Spiza dalmacka,
na południe czarnogórski Bar. Burzące się fa-
le Adryatyku nie pytają jednak, czyje tu, a czy-
je obok panowanie. Adrya jest sama sobie
panem.

Jan Magiera.



Z dawnego Lwowa.

Z roku na rok, rzecz można z miesiąca na
miesiąc, zatracą Lwów swój dawny wygląd.
Wygórowana cena gruntów, wysokie czynsze
najmu mieszkań i wywołana tem gorączka spe-
kulacyjno-budowlana, dokonywają szybko tej
przemiany. Charakterystyczne dworki, kryjące
się po przedmieściach w zieleni drzew i krze-
wów, i skromne jednopiętrowe kamieniczki ustę-
pują przed kolosami czynszowymi, wznoszonymi
niejednokrotnie w stylu niesmacznej secesyi
wiedeńskiej, tak nie harmonizującej tu z resztą
otoczenia.

Jedną z części Lwowa, która najdłużej za-
chowała swój pierwotny, na polu podmiejski
charakter była ulica Zielona. Kilka pałacyków,
dalej skromne dworki, które ku rogatce ustę-
powały miejsca chatom przedmiejskim, tonęły
tu w zieleni parków i ogrodów, usprawiedliwia-
jąc w rzeczy samej nazwę ulicy „Zielonej“.

Ale wzrastający ruch budowlany nie pomi-
nął i tej strony; coraz bardziej miejsce ogród-
ków zajmować zaczęły szare mury kamienic.

Przeprowadzona w roku 1908 w tej ulicy
linia tramwaju elektrycznego, przyśpieszyła
jeszcze bardziej jej zabudowanie.

I oto właśnie pada w gruzy jeden z osta-
tnich charakterystycznych budynków w tej czę-
ści miasta: stary pałacyk, ongi własność hra-
biów Zamoyskich.

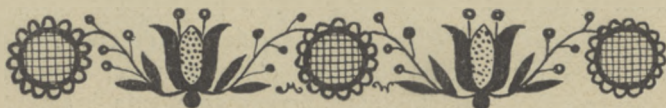
Pałacyk ten zbudowany w oryginalnym, choć
może trochę pretensjonalnym stylu, powstał
na początku XIX wieku, służąc zrazu za cza-

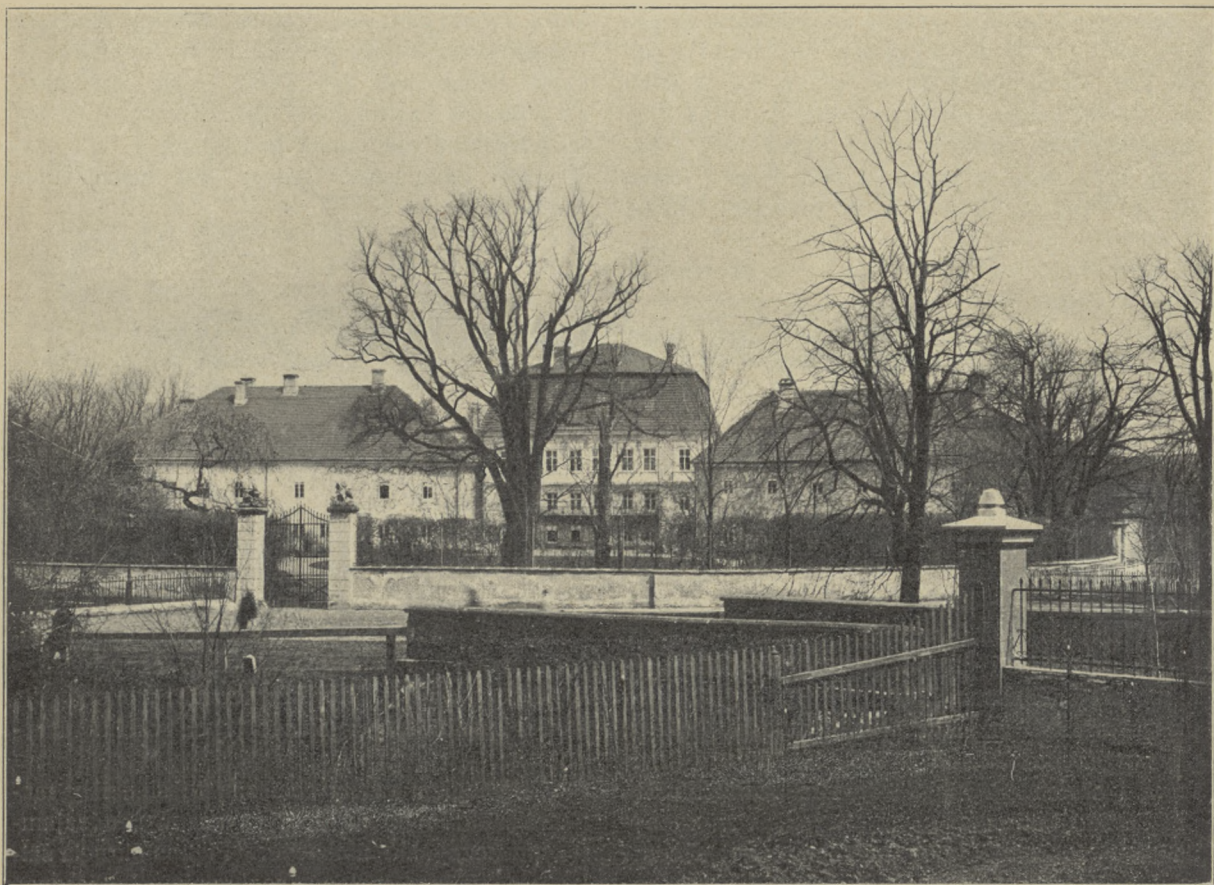
sową, następnie stałą siedzibę właścicielom.
Odegrał on też pewną rolę w latach 1860—
1863. Położony bowiem w miejscu mało ucze-
szczanem i nie rzucającem się w oczy władzy
policyjnej, służył jako bezpieczne miejsce dla
narańd komitetów organizacyjnych ruchu naro-
dowego.

Z biegiem czasu zaciszną tę siedzibę ma-
gnacką obrócono na dom czynszowy, odnajmu-
jąc poszczególne ubikacye. Piękna okrągła sal-
ka na piętrze pałacu rozbrzmiewała jeszcze
w ubiegłym karnawale odgłosem ochoczych tań-
ców podczas zabaw, jakie tam rozmaite komi-
tety karnawałowe urządzały. Wreszcie prze-
szedł pałacyk wraz z przyległym obszarem w rę-
ce przedsiębiorców, którzy położyli też kres je-
go istnieniu. Na miejscu tem powstanie nowa
ulica z całym szeregiem kilkopiętrowych do-
mów czynszowych.

Razem z pałacykiem padł ofiarą gorączki
budowlanej także piękny, z odwiecznych drzew
złożony, w ostatnich czasach co prawda dość
zaniedbany park, który nie mało uroku dawał
całemu otoczeniu. Przy robotach ziemnych, tam
prowadzonych, natrafiono na istne cmenta-
rzysko, skupiając około 50 czaszek ludzkich.
Pochodzenie ich nie jest dotąd zbadane.
Możliwe jest, że istniał tam cmentarz, nale-
żący do kościoła św. Urszuli, zamienionego dziś
na kościół ewangelicki, lub też odbyła się tu
jedna z tak licznych potyczek, jakie pod mu-
rami Lwowa miały miejsce.

W. F.





PAŁAC W DUKLI.

fol. ks. Antoni Typrowicz.

DWORY, ZAMKI I PAŁACE.

Pałac w Dukli.

Ważna handlowo i strategicznie przełęcz Dukielska musiała być broniona przez fortyfikacje. Wznosił się więc tutaj zamek nad Jasiołką, który był w posiadaniu Kobylańskich, Czykowskich (1503), Jordanów (1540), Zborowskich (1600), Męcińskich (1601), wreszcie Mniszców (1638).

Przy częstej zmianie właścicieli zamek prawie rozsypał się w gruzy, a na jego miejscu nowy dziedzic Franciszek Bernard Wandalin Mniszech wznosił do dziś istniejący pałac. Brat carycy Maryny musiał urządzić sobie prawdziwie pańską rezydencję. Rozpoczęte jednak roboty ukończył dopiero jego wnuk Jerzy Wandalin Mniszech marszałek w. koronny w 1709 roku.

Możni komesowie „de Magna Konczyce” nie lada dzielnych sprowadzili architektów

i stworzyli dzieło godne pańskich rezydencji pod Paryżem lub Wiedniem, pomimo, że przeróbki późniejsze, zwłaszcza zaś z 1875 roku, znacznie zeszpeciły prostotę i majestat pierwotnego planu.

Wspaniałości zewnętrznej odpowiadał też przepych wewnętrzny, gdyż sale były zdobne w buazarye, klamki i zamki były ze złożonych bronzów, piękna kaplica, sala muzyczna i kilkadziesiąt pokoiów czyniły rezydencję dukielską prawdziwie magnacką.

Za pałacem ciągnie się wspaniały park, obramowany z jednej strony biegiem Jasiołki. W rysunku parku znać dobrze system wersalskiego Le Nôtre’a, operującego basenami wód i szpalerami drzew. Taras nad Jasiołką zdobiły ciosowe wazy, armatury, do ogrodu wiodła przepysznie kuta brama żelazna, w cieniu drzew



fot. ks. Antoni Tyrowicz

PARK PAŁACOWY W DUKLI.

rozrzucone były ciosowe ławy i stoły, również rzeźbami pokryte.

Obok pałacu wzniesiony był teatr, w którym wykwinne towarzystwo dukielskie grywało komedye Bohomolca i innych, a w szeregach aktorów byli np. J. W. Imć Pan Szczęsny Potocki, chorąży w. kor., i pani chorążyna, Mniszchówna z domu, panny Wodzickie, starościanki stobnickie, oraz cała wykwinna sosieta dukielskiego dworu. Wrzało tu wesole, beztrojskie życie stanisławowskie, gdy przygotowano do wystawienia komedye, np. „Żona pocziwa,

komedya w III aktach przez JWJMP. Tadeusza z Lipego na Lipsku Lipskiego, kasztelana Łęczyckiego, orderu orła białego, kawalera woysk J. K. M. y Rzeczypospolitey Generała majora wydana. Na Theatrum Dukielskim grana“. Albo „Arlekin na Świat urażony Komedya w Pięci Aktach na Theatrum Dukielskim Grana w Dukli“.

Tak się bawiono na dworze dukielskim, który dziś posmutniał i poszarzał, a w sylwecie swej i wielkim parku, co z czasem wyłamał się z Le Nôtre'owych linii, dawną swą świetność tylko przypomina.

Al. Janowski.





GDAŃSK.

2)

II. JARZMO KRZYŻACKIE.

Zdążając do Gdańska z Księstwa Poznańskiego, przejeżdża się wzdłuż całe Prusy. Dziś przedstawiają się one jako wielki a płaski kraj, żyzny i doskonale uprawny. Z obu stron zaglądają bez przerwy do wagonu kolejowego olbrzymie łany zboża, wiatrem kołysane. Ciągną się one nieraz dziesiątkami mil i wytwarzają pewną jednolitość krajobrazu. Aż uderza też tutaj brak lasów.

Dawniej, przed tysiącem lat było tu inaczej. Nie pola uprawne, lecz dziewicze, niedostępne bory pokrywały cały ten kraj. Zamieszkiwał go waleczny, choć dziki szczep — prusowie. Z nimi sąsiadowało Pomorze, którego książęta byli zarazem panami Gdańska, odwiecznej osady słowiańskiej. Czas powstania tej osady trudno bliżej oznaczyć, to pewna jednak, że po raz pierwszy występuje w końcu dziesiątego wieku pod nazwą polską — Gdańsk.

Pierwsze wieki jego historii wypełniają nieustanne spory i walki o panowanie nad miastem, pomiędzy książętami pomorskimi a królami duńskimi. A i margraby brandeburskie oddawna nie mają spokoju — radziłyby pojąć i kraj i miasto. Przeszkadza temu jednak Polska, która od samego początku uznawała zawsze swą łączność z bratnim szczepem. Tak więc kultura, jaką powoli się szczepi na ziemiach pruskich i pomorskich, przybywa z Polski. W ślad za św. Wojciechem, apostołem prusaków, wyrusza św. Jacek z Krakowa. Członek możnej rodziny polskiej Odrowążów, brat wielkiego biskupa krakowskiego Iwona, wstępuje do zakonu św. Dominika i w klasztorze krakowskim przebywa jakiś czas, przygotowując się do misji apostolskiej. Niebawem z kilkoma braćmi zakonnymi udaje się pomiędzy wrogich prusów, dociera szczęśliwie do Gdańska i tam zakłada kościół i klasztor dominikanów, będący dziś najstarszą świątynią miasta. Starszą jedynie była Oliwa, klasztor cystersów, założony w pobliżu miasta przez Sambora, księcia pomorskiego, w 1178 roku.

Oba te zakony: św. Bernarda z Citaux i św. Dominika, mają ogromne znaczenie dla rozwoju kultury wśród ludów europejskich. Są one także przykładem, jak kościół w dawnych

czasach pojmował swoją misję kulturalną wśród społeczeństwa, które organizował i podnosił. Celem bowiem zakonu cystersów była praca na roli. Byli oni niejako pierwszymi kolonizatorami. Karczowali lasy i uczyli ludność uprawy ziemi, zamieniali przez to koczownicze życie w półdzikich jeszcze szczepów, żyjących z polowania, na osiadłe. Dlatego klasztory cysterskie spotykamy zawsze poza miastami lub w ich pobliżu. Zakon ten ujęty w doskonałą regułę, przestrzeganą z zadziwiającą ścisłością i surowością, podobny był do olbrzymiego mechanizmu, niezwykle dokładnego.

Inne zupełnie cele miał zakon św. Dominika. Był on nowym szczeblem w rozwoju cywilizacji. Nie praca na wsi, ale w mieście — nie uprawa ziemi, ale organizacja społeczeństwa. Dominikanie, podobnie jak franciszkanie, byli zakonem kaznodziejskim. Główny ich rozwój i misja przypada na wiek trzynasty i czternasty. Są to czasy organizacji miast. Wtedy wytwarzają się i ustalają stosunki miejskie, powstają cechy i kongregacje kupieckie, spisują się kodeksy prawne, obowiązujące powszechnie. To jest właśnie okres końcowy średniowiecza, kiedy po upadku świata starożytnego, nastąpił zupełny przewrót, wymagający dłuższego szeregu wieków, zanim ustaliły się nowe normy życia społeczeństw, obowiązujące wszystkich i wszystko.

W tym właśnie czasie — pod koniec trzynastego stulecia — Gdańsk jest już ważnym punktem handlowym. Doskonale warunki geograficzne — położenie przy ujściu wielkiej rzeki do morza, zapewniają mu odrazu znaczenie w handlu morskim. To także było powodem ciągłych walk i sporów.

Po śmierci ostatniego księcia pomorskiego Mestwina II, w r. 1295, Gdańsk przechodzi niebawem do króla Władysława Łokietka. Ten jednak, zaprzętnięty wewnętrznymi sprawami państwa, nie mógł całej uwagi poświęcać nowej prowincji. Żył zaś podówczas w Gdańsku można rodzina Święców, którą król zobowiązał dla siebie przysięgą wierności. Popelniał jednak wielki błąd, gdyż zarząd miasta i całego kraju oddał sędziemu pomorskiemu, Boguszy. Święcowie, oburzeni tem postępowaniem króla, chcąc miastem zawładnąć, wezwali na pomoc margrów brandenburskich. Ci zaś skwapliwie skorzystali z tego wezwania, myśląc,



że cały kraj wraz z miastem ogarną. Tego również obawiał się i sam Gdańsk i wezwał na pomoc krzyżaków. Chytry, przebiegły zakon — w myśl starej zasady — pospieszył natychmiast z pomocą, odparł brandenburgów i sam miastem zawładnął.

Naturalnie, że stało się to drogą podstępów. Właśnie przypadała uroczystość św. Dominika, obchodzona zawsze bardzo wspaniale, z kilkodniowym odpustem i jarmarkiem. Ściągały na ten dzień z okolic wielkie masy ludności. Uroczystość kościelna zaprzętnęła umysły wszystkich. Skorzystali z tego krzyżacy, — opanowali słabo strzeżony zamek w mieście i osadzili tam swoich ludzi, wyrznuwszy następnie 10,000 polskiej załogi miasta.

Odtąd—od r. 1308 do 1454—byli krzyżacy niepodzielnymi panami Gdańska. Poczuło niebawem miasto srogie jarzmo krzyżackie. Bo zakon nie znał żadnych względów wobec polskiej ludności miasta, która musiała całkiem z miasta ustąpić i zająć błotniste grunta obok, gdzie wyrosła z czasem biedna osada rybacka zwana Hakelwerk. Polskie zaś przedmieście Nygart albo Wyke zajęli Niemcy. Jest to dzisiejsze śródmieście czyli Rechtstadt. Pod panowaniem zakonu Gdańsk z wolna przeradzał się w rdzenne miasto niemieckie.

Zakon czuł bowiem, że jest to jedyny żywioł, na którym może się oprzeć i dlatego fortytował go ustawicznie. Mimo to jednak srogie i okrutne były te rządy krzyżackie. Miasto, którego agendy handlowe coraz większe zakreślały sfery, drogo bardzo musiało się opłacać. To też komturowie zakonu, zarządzający miastem, gromadzili często z ubocznych opłat znaczne majątki. Tak np. pod koniec czternastego wieku jeden rok nieurodzaju na zachodzie stał się źródłem ogromnych dochodów Gdańska. 300 okrętów angielskich, francuskich i holenderskich zawinęło do portu, domagając się polskiego zboża, które kupcy drogo sprzedawali. Ale i ówczesny komtur nieźle przy tych transakcjach zarobił.

Mimo ucisku zakonu miasto rozrastało się i powiększało. Z wolna zaczęło się ustalać jego wpływowe znaczenie jako potęgi handlu morskiego. Już setki okrętów co roku zawijały do jego portów. Głównym artykułem było zboże i drzewo, pochodzące z Polski. Na brzegach Francji, Hiszpanii, nawet Portugalii spotkać można było okręty gdańskie. Samo miasto przybierać zaczęło coraz więcej groteskowy charakter wskutek mnóstwa obcych narodowości i strojów. Anglicy mieli tu swoje stałe faktorie, podobnie jak Holendrzy. Szczególniej

bardzo ożywione stosunki z Gdańskiem miała Lubeka. Wspólne interesy miast północnych stworzyły t. zw. związek hanzeatycki, rodzaj ligi handlowej, łączącej nadmorskie miasta do wspólnej obrony swych interesów. Gdańsk nie tylko należał do tego związku, ale nawet stał się z wolna jednym z czterech, głównych miast ligi.

Potęga, znaczenie i bogactwa miasta rosły nieprzerwanie. Już nie oglądało się ono na pomoc związku, gdy szło o zagrożone interesy. W r. 1393 uzbraja własnym kosztem dwa okręty z 1200 ludźmi załogi i pod ich zasłoną wyprowadza statki ze zbożem. Głównym niebezpieczeństwem handlu morskiego było rozwielenie korsarstwo. Było to rzemiosło nie ryckie co prawda, ale przynajmniej nie hańbiące w ówczesnym pojęciu. To też chętnie poświęcała mu się szlachta zachodnich krajów. Powstał nawet osobny rodzaj rycerzy-rozbójników. Pod koniec czternastego wieku Gdańsk zaczyna odgrywać ważną rolę w polityce europejskiej. Jest on pośrednikiem w sporze o dziedzictwo tronu szwedzkiego pomiędzy Albertem a Małgorzatą. Ba, nawet Sztokholm, stolicę Szwecji, oddano jemu i Lubece w zastaw.

Ale ten nieustanny wzrost miasta był solą w oku zakonu. Czuli to oni zbyt dobrze, że są tylko tymczasowymi panami Gdańska. Ze wzrostem potęgi miasta znaczenie ich malało. Widzieli, że rozwojowi miasta nie mogą pomóc, ani przeszkodzić. Pomagać zresztą nie mieli ochoty, przeciwnie, chcieli przeszkodzić, ale nie mogli tego dokonać. Tu więc leżało źródło zawiści, która z wolna przeradzała się w srogi ucisk miasta. Gdy zakon, który ogniem i mieczem nagiął wszystkich do uległości, zaczął zapuszczać swe łupieżcze zakony coraz bardziej na Litwę, Kiejstut, książę litewski, chcąc pomścić grabież i mordy zakonu, postanowił odebrać mu Gdańsk.

Zmówiwszy się zatem z ks. mazowieckim, podpłynęli na statkach, dla pozorów napełnionych zbożem, aż do ujścia Wisły i czekali na otwarcie bram. Korzystając bowiem z odpustu na św. Dominika, wysłał Kiejstut do miasta swych ludzi, którzy mieli po wymordowaniu straży nocnych otworzyć bramy miejskie. Plan ten jednak nie udał się. Wysłańców Kiejstuta pochwycono i zabito, on sam ledwo uratował się ucieczką.

Mimo że zamach nie powiódł się, był on dowodem, ile nienawiści miał wszędzie zakon. Nie czując się zupełnie pewnym w swych łupieskich posiadłościach, myślał, że krwawym uciskiem zdoła zmusić do uległości. Najwięcej



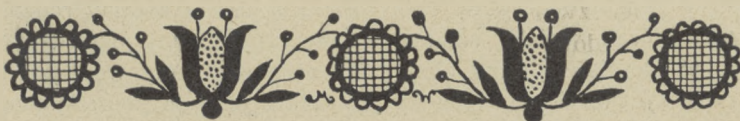
zależało mu na utrzymaniu Gdańska, a niechęć miasta do zakonu rosła z każdym rokiem. Na tem tle powstawały ciągle spory między zarządem miejskim a komturem gdańskim. Większy spór wyniknął niebawem pod koniec czternastego wieku z powodu świeżo wybudowanej wielkiej bramy t. zw. *Der Kran*. Krzyżacy niesłusznie rościli sobie do niej prawa. Była ona zarazem ważnym punktem do obrotów handlowych. Zakon mimo porażki nie dał za wygraną. Niedaleko na Fischmarkcie wybudował mocną twierdzę i w niej to właśnie komtur gdański, Henryk von Plauen — mszcząc się za poprzednie niepowodzenie — zaproszonego na ucztę burmistrza miasta i kilku radnych w okrutny sposób zamordował w r. 1410.

To było hasłem do walki z zakonem. Mia-

sto za wszelką cenę postanowiło uwolnić się z tego zbójckiego jarzma. Wkrótce poznało, że w swej nienawiści do zakonu nie jest odosobnione. Naokoło wszędzie, gdzie się ziemi tknęła stopa krzyżacka, wrzało jedno pragnienie — krwawego odwetu na zakonie. I gdy na wiadomość o wojnie Polski z krzyżakami wszystkie narody i szczepy połączyły się pod berłem króla polskiego, Gdańsk również pospieszył w wojenne szeregi, wysyłając 1200 doskonale uzbrojonych ludzi na polu Grunwaldu i Tannenbergu. Zakon jednak pobity w otwartej walce, bronił się jeszcze długo w swoich zamkach. Jeszcze Gdańsk wiele wycierpiał, zanim w r. 1454 zdusił tę „przebrzydłą hydrę“, wypierając ją z zamku miejskiego, który następnie zburzono.

D. N.

Franciszek Klein.



Rozsiedlenie litwinów współczesnych. ⁴⁾ (dok.).

Widzimy więc to zjawisko wszędzie, gdziekolwiek mieszkają litwini w sąsiedztwie innych ludów. Dodajmy, iż w miarę obniżenia się procentu ludności litewskiej, wzrasta stale na Litwie odsetka narodowości, zamieszkających w sąsiedztwie, głównie białorusinów, a częściowo i polaków.

Uderza nas przytem stałość tego zjawiska, dotąd mało uwzględnianego, lubo wielce znamienne, stałość nie tylko co do miejsca, lecz i co do czasu: tak było ongi, tak jest i teraz. Ludność litewska nigdzie nie może się ostać wobec innych narodowości, wsiąka w nie, li-czebnie szybko się zniża, a nawet ginie, zanika, nie pozostawiając często po sobie nawet szczątków.

Przeglądając się mapie osiedlenia ple-mienia litewskiego dziś i dawniej, nie możemy nie dostrzedz tego faktu, że linia demarkacyj-na litwinów w zaborze tutejszym cofa się co-raz bardziej ku zachodowi; odwrotnie zaś w Pru-sach wschodnich posuwa się ku wschodowi; nastę-puje więc pewna koncentracja, skupienie ludno-ści litewskiej z obu zaborów. Wypierani w obrę-bie Litwy i Królestwa coraz bardziej na zachód, przysuwają się ku swym pobratymcom w zabo-rze pruskim, gdzie tylko wschodnie kresy ziem,

ongi czysto litewskich, nie uległy dotąd jeszcze wynarodowieniu; to też w obrębie państwa ro-syjskiego najlepiej, oczywiście, trzymają się kre-sy litewskie zachodnie, w Prusiech—wschodnie.

Stwierdzony już napewno fakt wynarada-wiania się litwinów dawniej i dzisiaj, w różnych miejscowościach i różnych krajach (wszak ongi aż po Dźwinę litwini, jak wiadomo, mieszkali zwartą masą) upoważnia nas do wnioskowania, iż naród litewski, który się nie rozrasta, lecz przeciwnie, cofa się wszędzie, maleje, w przy-szłości kraju zabranego, a raczej tej jego czę-ści, którą przyjęto nazywać Litwą, nie może odegrać i prawdopodobnie nie odegra żadnej roli wybitnej, chyba, że okoliczności zgoda się zmieniać i narodowość litewska przestanie się zmniejszać, czego oczekiwać niepodobna, są-dząc z praktyki dotychczasowej i wnioskując na podstawie położenia geograficznego Litwy etnograficznej, która jest wtłoczona w środek zewsząd ją zamykającego pierścienia obcych na-rodowości, pozbawiona przytem jakiegokolwiek oparcia przyrodzonego.

To niebezpieczeństwo, wynikające z oto-czenia ich przez Niemców, Polaków, Białorusi-nów i Rosjan, litwini widzą aż nadto dobrze, zarówno jak i stale zmniejszanie się swej ludności.



Widzi to i pojmuje, oczywiście, inteligencja litewska i, rozumiejąc całą doniosłość tych objawów, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jest zgola bezradna. Oszolomiczni i wstrząśnięci faktem stałego ubywania ludności litewskiej, o czym sami się przekonali, lubo bardzo niedawno, usiłują naprędce wynaleźć środki ratunkowe, pogotowie zbawcze, i w swem wielkim zaciętrzewieniu tracą umiejętność panowania nad sobą i trzeźwego widzenia rzeczy, wpadając w chorobliwą przesadę, manię bojkotowania, zwalczania wszystkiego, co nie litewskie.

Pisma nasze i obce stale o tem donoszą, przytaczając poszczególne fakty objawów bezsilnej złości i okrutnego na nas gniewu przewódców ruchu t. zw. litwomańskiego. Atoli błędnie całkiem sądzimy, iż ta nienawiść litewska, wzbieająca dziś coraz silniej, wybucha wyłącznie pod naszym adresem. Bynajmniej! Litwini, podburzani przez swą inteligencję, z równie napaśtniczo-zaborczymi instynktami zwracają się i do wszystkich prawie innych narodów, z którymi się stykają: w każdym widzą zawziętego wroga, „czyhającego“ na przyszłość plemienia litewskiego. Weźmy np. białorusinów, naród arcy spokojny i zgola nie mający żadnych instynktów zaczepnych, stojący przytem na równie niskim, jak i sami litwini poziomie kultury, naród prawie wyłącznie z włościan, z ludu złożony, bez inteligencji, której liczy w swem gronie jeszcze mniej głów, niż litwini.

Chociaż ludność białoruska zarówno zresztą, jak i polacy, wody potomkom Giedymina nie mąci, owszem, starannie unika wszelkich z nimi waśni i niesnasek, zwłaszcza wobec tyłu wspólnych trosk i kłopotów, to jednak ludność białoruską litwini traktują z największą zjadłością, widząc w białorusinach również swych wrogów niebezpiecznych i odwiecznych. Jeśli ta nienawiść litewska płynie ku nam nieco szerszem korytem, to łatwo się daje ten fakt wytłumaczyć większymi obawami litwinów przed naszą, daleko wyższą, niż ich własna i białoruska kultura: skoro nawet białorusinów się za groźnych uznaje, to tem bardziej ludność polska wydaje się im niebezpieczną.

Objawy nienawiści ku nam litwinów objawiają się nie tylko pod względem społecznym, kulturalnym, narodowym i t. p., lecz nawet — rzecz na pozór nie do uwierzenia — pod względem ekonomicznym.

Niezdolni sami do inicjatywy i do postępów w zakresie np. kultury rolnej, leniwi i apatyczni, litwini palają gniewem i oburzeniem, gdy polacy się przyczyniają do podniesienia kraju pod względem ekonomicznym i kulturalnym,

gdy tworzą kółka rolnicze, urządzają pokazy i wystawy, zakładają towarzystwa, gwoli podniesienia w kraju hodowli inwentarza, podniesienia stanu gospodarstwa i wogóle kultury rolnej, gdy wprowadzają różne melioracje i t. d. Litwini nie mogą przebaczyć nawet swym rodakom-chłopom, jeśli, widząc postępy w naszych, polskich gospodarstwach rolnych i osiągnane z tego widoczne korzyści usiłują nas naśladować i wprowadzać, w miarę możliwości, także ulepszenia u siebie! Broń Boże! Niech raczej gnusnieją w zastoju i obskurantyzmie, niż mają pójść za przykładem polaków; a sami litwomani — powtarzam — zdobyć się na nic lepszego nie umieją.

Dzienniki litewskie z radością, polskie zaś z oburzeniem, notują często fakty agitacji litwomaków w kierunku różnienia włościan z dworem, o ile dwór ten jest polski. Szczególnie duże przybierają rozmiary te poduszczenia, gdy chodzi o jakąś wspólną dla korzyści obu stron działalność wsi i dworu, np. kopanie rowów dla osuszenia łąk, urządzania irygacji pól i t. p.

Najzawzięciej jednak ujawnia się agitacja litwomaków wtedy, gdy pomiędzy włościanami litewskimi a obywatelem ziemskim polskim dochodzi do układu polubownego, mającego na celu zniesienia służebności rolnych, szkodliwych dla obu stron i pod względem ekonomicznym i społecznym. Już wielokrotnie takim układom w ostatnich czasach przeszkodzono: niech kraj upada ekonomicznie, byle tylko nie było zgody i porozumienia wzajemnego pomiędzy litwinami a polakami, a zniesienie serwitutów tak łatwo mogłaby właśnie do tej „niebezpiecznej“ zgody doprowadzić.

Ale nie dość na tem, kwestya litewska tak się zaostrzyła w latach ostatnich, i to nie tylko na Litwie, lecz i w obrębie Królestwa Polskiego, w ziemi augustowskiej, że wpływa ona bardzo ujemnie na warunki pracy gospodarstw rolnych w kraju naszym, zmuszając nieraz właścicieli ziemskich do sprzedaży majątków i szukania warsztatu pracy gdzieindziej.

Dzieje się to także nie tylko na Litwie, lecz i w Suwalszczyźnie, gdzie również były wypadki niemal przymusowego pozbywania się ziemi tanio, zbyt tanio, celem ucieczki od stosunków miejscowych, wprost niemożliwych.

Dzieje się to bynajmniej nie na jakiejś tam podstawie ekonomicznej, nie jest wynikiem agitacji socjalistycznej, lecz wyłącznie ostrym objawem litwomańskich niechęci narodowościowych. Na dowód można się powołać na takie fakty, że, gdy np. dobra ziemskie od polaka



przechodzą w ręce litwina, wnet ustaje poduszanie chłopów okolicznych, stosunki wzajemne chaty z dworem przybierają charakter normalny, a nawet wzorowy, i wszelkie niesnaski odrazu znikają. Nie dość na tem, zwalczani są przez podburzonych włościan litewskich nie tylko polscy właściciele majątków ziemskich, lecz i ich zastępcy w postaci rządów, ekonomów i t. p.; w pow. maryampolskim i władysławowskim głośnie były lata ubiegłego wypadki zmuszenia przez włościan-litwinów dziedziców-polaków do usunięcia administracji polskiej i przyjęcia na jej miejsce litewskiej, niezdatnej a leniwej, ze szkodą i stratą majątku ziemskiego i gospodarstwa rolnego. Rządcy polskiemu litwini-włościanie wprost odmawiali posłuszeństwa, zwalczając go na każdym kroku i szukając do niemożliwości. Dzisiaj sporo dóbr ziemskich w ziemi augustowskiej musiało zastąpić administrację polską litwinami, bez względu na straty, jakie ponosili przez to ich właściciele.

Dzieje się to samo nie tylko w gub. suwalskiej, lecz i na Litwie, przynajmniej w jej części zamieszkałej przez ludność litewską. Jak taki stan rzeczy może i musi wpływać na kulturę rolną, na postępy w zakresie gospodarstwa rolnych, mówić chyba nie trzeba.

Prasa nasza słusznie przypisuje wrogi dziś na Litwie i w Suwalszczyźnie stosunek do polaków ludności litewskiej, do niedawna biernej i apatycznej,—zacieklej agitacji zewnętrznej z jednej strony litwinów „ideowych“, ogarniętych strachem, z drugiej zaś — ich sojuszników wynajętych, agitatorów płatnych, za srebrniki uwiłajających się po wsiach litewskich¹⁾.

To są fakty najzupełniej stwierdzone. Ową litwomanię, objawiającą się w postaci nienawiści do wszystkiego, co nie litewskie, należy przypisać przyczynom daleko głębszym, o których mówię powyżej: świadomości nielicznej inteligencji litewskiej, głównie młodszego duchowieństwa, co do faktu, że plemię litewskie jest wypierane nie tylko przez polaków, stojących daleko wyżej kulturalnie, lecz nawet przez białorusinów, których kultura jest, jak wiadomo, na równie niskim szczeblu rozwoju, jak i kultura litewska.

W rezultacie litwini widzą doskonale, że w bliższej lub dalszej przyszłości, skazani są prawdopodobnie na zagładę i wykreślenie z mapy Europy. *Inde irae...*

Litwini, *recte* litwomani, pomstują dziś srodo na okoliczności historyczne, które sprawiły, że w wieku XIV Litwa połączyła się z Polską, i twierdzą, że Unia się przyczyniła do zmniejszenia liczby ludności litewskiej, do jej wynarodowienia się.

Szkoda wielka, że przy takim wygłaszaniu niedorzeczności jakby zapomnieli lub zgola tego nie rozumieli, że gdyby nie Unia Lubelska, to nie zostałoby już dziś po nich żadnego śladu, że dawno wytępiliby ich — dzikich pogan, krzyżacy, niedobitki zaś wyginęłyby w nieustannych walkach z książętami ruskimi.

Aleksander Łętowski.

i drażliwa, ale i niesłychanie skomplikowana, wymagałaby bardziej wszechstronnego oświecenia. Na razie zamieszczamy wnioski powyższe, jako logiczne uzupełnienie zebranych przez autora danych statystycznych (*Przyp. Red.*).

¹⁾ Sprawa ta, nie tylko niesłuchanie przykra





Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Dnia 27 z. m. o wieczornej porze, odbyło się zebranie miesięczne Oddziału Piotrkowskiego, pierwsze po sezonie wycieczkowym.

Z powodu jubileuszu Uniwersytetu Lwowskiego na przesłaną w imieniu Oddziału Piotrkowskiego depeszę ze słowami: „Placówce cywilizacji zachodniej na rubieżach Polski—cześnie!” Odpowiedział Rektor i Senat Uniwer. w ten sposób: „Dziękujemy najuprzejmiej za pamięć, okazaną naszemu uniwersytetowi w dwóchsetną pięćdziesiątą rocznicę jego założenia przez króla Jana Kazimierza. Nadesłane nam zewsząd adresy i życzenia są cennym dla nas dowodem, jak liczne i żywe węzły łączą społeczeństwo polskie z Uniwersytetem lwowskim. To też zachowaliśmy te życzenia i adresy w zbiorze pamiątek jubileuszowych, ażeby świadczyły potomnym, że w radośnem naszym święcie brał udział cały naród“. Taka sama wymiana życzeń i odezw nastąpiła i pomiędzy Zarządem Głównym Towarzystwa a Uniwersytetem lwowskim.

Zarząd Oddziału Piotrkowskiego współdziałał w uroczystości poświęcenia fundamentów pod własny gmach Stowarzyszenia Rzemieślników i Handlujących m. Piotrkowa, oraz w naradach nad sposobem uczczenia proroka narodu — złotoustego ks. Piotra Skargi. Następnie odczytano odezwę Centrali w sprawie pomiaru jezior, do czego wielką pomocą mogą być ogłoszone w tym celu wskazówki.

Komunikaty z oddziałów zwiastowały głównie przybycie do Piotrkowa lub Sulejowa wycieczek krajoznawczych, jak np. z Warszawy, dn. 16 maja, i z Łodzi 14 lipca — lub też podziękowania Zarządowi za czynną przy tem pomoc.

Działalność Zarządu Piotrkowskiego — w kierunku organizowania wycieczek — zaznaczyła się dziewięciodniową wyprawą na Litwę, oraz wycieczkami do Koniecpola i Rozprz. Sprawozdanie o nich będzie podane na innym miejscu. Wydawnictwo kosztem Oddziału monografii m. Koła, posuwa się szybko ku końcowi. Na zakończenie sprawozdania odczytano listę nowych członków Tow., zapisanych do Oddziału Piotrkowskiego — ogółem osób 24.

Zakończył posiedzenie prezes M. R. Witanowski, wygłaszając odczyt o wycieczce krajoznawczej na Litwę, objaśniając rzecz licznymi przezroczkami i licznymi jeszcze fotografiami, wykonanymi bezinteresownie przez firmę Z. Majcherskiego w Piotrkowie.

+ Staraniem Oddziału Olkuskiego Pol. Tow. Krajoznawczego urządzoną zostanie w Olkuszu w sali Resursy miejscowej wystawa obrazów artystki malarki p. Maryi Płonowskiej z cyklu „Krajobraz Ukraiński“. Cały szereg artystycznie wykonanych obrazów, przedstawiających prześliczne zakątki kraju, pełne smutku ukraińskie pola, typowe włościańskie chaty i ich wnętrza tworzą nader har-

monijną całość, pozwalającą poznać piękno ukraińskiego krajobrazu z pełnem odcieniem najsłabszych jego odcieni, tonów, barw i ukrytej duszy. Wystawa otwarta została dn. 8 grudnia i pozostanie w Olkuszu do 15 grudnia, następnie ma być przewieziona do Sosnowca.

Kulminacyjnym punktem urządzanych w sezonie jesiennym przez Oddział Olkuski odczytów był wygłoszony w d. 17 listopada odczyt p. Aleksandra Janowskiego na temat „Nasze miasta“, który zgromadził nieznaną dotąd w małym miasteczku ilość 151 słuchaczy i wywarł jak najmiłsze i najkorzystniejsze wrażenie.

oooooooooooo

Nowe książki.

Jan Jakubowski. Studya nad stosunkami narodowościowymi na Litwie przed Unią Lubelską. Proce Tow. Nak. Warszawskiego № 7. Warszawa, 1912. Nakł. Tow. Nauk. Warsz.

Zagadnienia narodowościowe w ich rozwoju dziejowym na obszarze Litwy historycznej nie są dotychczas zanalizowane dokładnie. Do ich zacieśnienia przyczyniły się tendencje polityczne, któremi się kierowali pisarze, zajmujący się temi sprawami. Skutkiem tego wśród szerszych kół inteligencji zapanowały poglądy, nie odpowiadające istotnemu stanowi rzeczy. Otóż p. Jakubowski, zaszczytnie znany pracownik na niwie historiografii litewskiej, pokusił się o obiektywne scharakteryzowanie tak stosunków narodowościowych na Litwie historycznej, jak i ewolucji świadomości narodowej litewskiej w dobie poprzedzającej Unię. Stosując metodę ściśle naukową, opartą na faktach i danych, nie ulegających wątpliwości, p. Jakubowski przychodzi do następujących wniosków. Żywiół etniczny litewski nie był w wielkiem księstwie tak słaby liczebnie, jak to dotąd zwykle przypuszczano. W w. XVI obejmował on około połowy ogółu ludności państwa. Używania języka ruskiego (konwencyonalnego, cerkiewno-słowiańskiego — w piśmiennictwie i białoruskiego w życiu potocznym) na Litwie nie jest dostatecznym powodem do uważania Litwy za kraj ruski. Świadomość narodowa litwinów znalazła swój wyraz w kronikarstwie litewkiem, które w języku było ruskiem, lecz w duchu szczerze litewkiem. Kronikarstwo ruskie na Litwie stawało się z czasem coraz bardziej życziwe dla państwa litewskiego, aż wreszcie zlało się z kronikarstwem litewkiem. Żywiół etniczny litewski, który miał z początku tylko przewagę polityczną w państwie, zyskał z czasem i przewagę kulturalną. Do przewagi kulturalnej żywiółu litewskiego przyczyniła się głównie kultura zachodnia, która płynęła do Litwy z Polski. Pod wpływem tej kultury powstała kronika litewska, opisująca bajeczne dzieje Litwy. Kronika ta przyczyniła się do wzmocnienia uczuć narodowych litewskich na całej Litwie. W wieku XVI



w warstwie szlacheckiej zatarła się różnica pomiędzy litwinem a rusinem litewskim. Cała szlachta na Litwie uważała się za litwinów. Pozostała tylko różnica religijna, która jednak również zmniejszała się pod wpływem prądów reformacji. Statut litewski był dziełem całej społeczności szlacheckiej na Litwie, należy więc w równej mierze do obu żywiołów etnicznych, które społeczność tę utworzyły. Wpływ kultury zachodniej, który przeprowadził konsolidację narodową szlachty litewskiej, przyczynił się w dalszym swym rozwoju do upadku wpływów kulturalnych ruskich oraz przygotował teren do mającej zapanować polszczyzny. Próba wprowadzenia na Litwie łaciny nie powiodła się. Myśl podniesienia języka litewskiego do godności języka narodowego litwinów zjawiała się dopiero po Unii Lubelskiej, gdy Litwa weszła już w skład wielkiej federacji ludów, zwanej Rzeczpospolitą Polską, i przez to otworzyła szeroko bramę wpływom kultury polskiej.

Rozprawa p. Jakubowskiego jest pracą o wielkiej wartości naukowej, rzeczywiście rozszerzającą zakres wiadomości o ewolucji narodowej litwinów, i wzbogacającą ją szeregiem nowych przyczynków.

Leon Wasiłewski.

oooooooooooo

Odpowiedzi Redakcyi.

Ks. Jungowi w Wrzący Wielkiej, gub. kaliska. Nadesłane okazy stanowią fragment wykopaliska przedhistorycznego.

1) Naczynko z otworem we dnie, bardzo osobliwe i przez to naukowo ważne — sądząc z typu ceramiki — należy do okresu Hallstadzkiego, jest to t. zw. przystawka.

2) Fragmenty metalowe są ułamkami bransolet lub naszyjników (są tak małe, że wyrokować trudno) z brązu — druciane zaś drobniejsze kółeczka są albo pierścieniami z brązu albo (stosowniej do miejsca i układu znaleziska) brzękadłami naszyjników; — co do epoki to również prawdopodobna jest ich współczesność z wyżej opisanym naczynkiem (zależy to od położenia i miejsca znalezienia).

3) Kamień płaski (piaskowiec) jest przelupany prawdopodobnie ręką człowieka — bez bliższego jednak opisu warunków znalezienia i t. p. nic ponad to powiedzieć nie można.

Znalezisko wedle wszelkiego prawdopodobieństwa odpowiada czasowi 800—400 przed Chrystusem.

SPROSTOWANIE.

We wspomnieniu żalobnem o ś. p. Stanisławie Krzemińskim w № 50 „Ziemi” w wierszu 6-ym od góry czytać należy „wychowanców Szkoły Głównej” nie „wychowawców”.

Od Administracyi.

Prosimy Sz. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na 1913 r. Zwracamy też uwagę na zapowiedź wydawnictwa albumów „Ziemi” na warunkach ulgowych dla prenumeratorów (p. Nr. 48 „Ziemi”).

TREŚĆ: *Maryan Wawrzeniecki* — Czy t. zw. zdobnictwo przeddziejowe i ludowe jest wyłącznie zdobnictwem ludowym? *Jan Magiera* — Z Cetynii do Baru (z 1 ryc.). *W. F.* — Z dawnego Lwowa. *Al. Janowski* — Pałac w Dukli (z 2 ryc.). *Franciszek Kleiń* — Gdańsk (c. d.). *Aleksander Łętowski* — Rozsiedlenie litwinów współczesnych (dok.). Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Nowe książki. — Odpowiedzi Redakcyi. Poza tekstem: Wieś Borszczahówka, pow. kijowski.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście (motywy kaszubsko-pomorskie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i tamał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Józef Mazurkiewicz. — Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**